

5.2. "Krwawy piątek" w Landeshut

We wszystkich dotąd wydanych wspomnieniach, czy obrazach literackich ukazywano potworne zbrodnie masowego ludobójstwa - czy powolnej, ale systematycznej eksterminacji odpornej ludności narodów okupowanych przez hitlerowskie Niemcy - raczej w wielkich obozach, jak: Auschwitz, Majdanek, Stuthof, Mauthausen, Dachau i wielu innych.

A przecież obok tych wielkich obozów po całym obszarze Niemiec rozsiane były liczne obozy małe tzw. Komanda, które podlegały obozom wielkim.

Centrala Gross-Rosen posiadała ponad 100 takich Komand. Jednym z tych obozów był liczący ponad 1500 więźniów, obóz w Landeshut /obecnie Kamienna Góra, koło Wałbrzycha/. Ograniczę się do opisania najbardziej dramatycznego dnia, który w pamięci więźniów tego obozu pozostał pod nazwą "krwawego piątku". Takich dramatycznych wydarzeń miał ten niewielki obóz wiele, czy to z okazji ucieczek, rewizji, egzekucji itp.

Szczególnie dramatyczna była ucieczka Wereszczyńskiego, czy 18-letniego Piotra Garczyńskiego, syna lekarza warszawskiego, którego pochwycono w pasie frontowym i publicznie na oczach obozu powieszono. Niemniej dramatyczne chwile nastąpiły wówczas, kiedy przez Landeshut przeciągały kolumny więźniów żydowskich, ewakuowanych z Auschwitz. Szeregu krwawych morderstw wśród nich dokonano na terenie naszego obozu. Ciężkie też chwile nastąpiły po wydarzeniach "krwawego piątku" tj. po 16.II.1945 r. w obozie, kiedy już fabryki były nieczynne i kiedy obóz pozostawiony był własnemu losowi, pozbawiony aprowizacji i skazany na głodowe wyniszczenie. Równie ciężkie były tygodnie marca i kwietnia tegoż roku, które pochłonęły wiele ofiar, zarówno przy kopaniu rowów przeciwczołgowych, jak i wskutek różnych akcji.

Na terenie obozu znani byli tacy oprawcy, jak Marian, który taboretami wykończył grupę Żydów, jak gruzlik Henryk Iwanowski, który dusił więźniów, huśtając się na desce, położonej na upatrzoną ofiarę. Ci doczekali się wyroku śmierci ze strony polskiego sądu. Nie wiadomo, co się stało z "Teo" Szulcem, który miał chyba kilkadziesiąt ofiar na sumieniu, czy z Czechem Adamem. Były pogłoski, że go sami Czesi już po uwolnieniu wykończyli. Na czele stał Lagerältester Peter, typowy bandyta, choć jak sam się chwalił, miał być złodziejaszkiem berlińskim. Potworem w ludzkim ciele był też i przysadzisty oberkapo Dicke i równie okrutny Regel.

Motorem napędowym tej niszczącej maszyny byli i "godni" Lagerführerzy, podoficerowie SS. Pierwszy o nazwisku Gross, elegancki sadysta w rękawiczkach. Przejeżdżał on często po terenie obozowym na rowerze, a za nim, sapiąc, biegł jak pies, lagrowy Peter. Jego następcą był mniej elegancki, ale również brutalny Herbert Hanke.

Oni to często policzkowaniem i kopaniem więźniów dawali hasło masakry w obozie. Trzymano się bowiem takiej zasady, że ilość więźniów w obozie nie mogła zbyt wzrastać. Gdy więc przyciągały "Zugangi", należało też zaraz zorganizować odpływ.

Terenem masakr, i to wcale nie łagodniejszym, były fabryki,

szczególnie hala-trumna poza miastem, zwana Werkiem III, w której praca wykańczała ludzi w przeciągu kilku tygodni. W tej to fabryce zginął kolega Krzysztofka, nauczyciel z Bielska Podlaskiego. Jeszcze dziś z odrazą przypominam sobie eleganckiego, o szczurzym wyrazie twarzy, kierownika kontroli w fabryce nr 1, szczególnie utalentowanego w policzkowaniu i kopaniu więźniów. Wśród majstrów spotykaliśmy także i ludzi, ale i również wyrafinowane bydlęta. Jeden z nich, brunet, szczególnie masakrował więźniów - Polaków, uzasadniając to zemstą za śmierć syna pod Warszawą. Każdy zapewne z b. więźniów tego obozu pamięta do dziś czyszczenie maszyn przez zmianę nocną przed zakończeniem prac tygodniowych w nocy z soboty na niedzielę. Wtedy to, zamiast przyrzeczonego dodatku żywnościowego za uzyskanie wyższych norm pracy, wypłacono kijami w kotłowni karę za niskie wykonanie normy. Wówczas wyładowywano całą wściekłość na więźniach za wszystkie w danym tygodniu poniesione na frontach klęski.

Po każdej takiej czystce wleczono trupy ofiar do obozu. W tej akcji wyróżnił się szczególnie jeden z majstrów "blondyn". Jakże bydlęcy był rozrachunek z nami tych "Übermenschów" w sierpniu i wrześniu 1944 r. w okresie Powstania Warszawskiego: Na porządku dziennym było mordowanie, kopanie, nie tylko przez SS-manów, ale i majstrów, czy zasłużonych kapów. Wymyślano wtedy najbardziej wyrafinowany sposób tortur, bo zakaz dokonywania potrzeb fizjologicznych poza przerwą w czasie 12 godzin pracy. Załatwiano się ukradkiem przy maszynach pod grozą bicia i śmierci.

Zapewne nie jeden z tych oprawców żyje sobie na Zachodzie do dziś spokojnie i jeszcze szczyci się ze swych "humanitarnych" wyczynów, udając ofiarę systemu hitlerowskiego. Szkoda, że b. Związek Więźniów Politycznych, a obecnie ZBoWiD nie zorganizowały choć częściowych zjazdów uczestników poszczególnych obozów i ich komand, aby można było ustalić nazwiska oprawców.

Pragnę opisać najbardziej dramatyczny epizod z historii tego obozu, nazwany "krwawym piątkiem".

Było to w początkach 1945 r. W styczniu i w połowie lutego przedostała się do nas za druty, do fabryki, radosna wieść o podjęciu nowej ofensywy z nad Wisły na Zachód przez armię radziecką.

Wściekłość SS-manów i majstrów świadczyła niechybnie o zbliżającym się froncie. I po raz pierwszy w tej wojnie przekonaliśmy się, że fakty wyprzedzały pogłoski o szybkości posuwania się wojsk radzieckich.

Gdy docierała do nas wieść o oswobodzeniu Kielc, armia radziecka docierała do Katowic, gdy dowiedzieliśmy się o walkach na Górnym Śląsku, usłyszeliśmy już armaty niedaleko nas. Nastąpiły dni gorącego oczekiwania, niepokoju, co z nami zrobią oraz dni nowych wzrastających szykan. Mogliśmy się spodziewać wszystkiego najgorszego, wyraźnie nam bowiem majstrowie mówili, że nikt z nas wolności nie doczeka, że po to znaleźliśmy się w obozie, aby nas praca i głód zniszczyły.

Oglądaliśmy z przerażeniem przeciągające gromady ewakuowanych więźniów z Auschwitz i innych obozów położonych na wschód od nas. Widzieliśmy, jak wpychano te gromady na noc w lochy wyżłobione w pobliskim zboczcu wzgórza, skąd po każdym takim noclegu wynoszono kupy trupów, uduszonych z powodu braku powietrza.

Pewnego dnia w czasie upozorowanego alarmu lotniczego poprowadzono nas do lochu - niby schronu przeciwlotniczego dla więźniów, w którym to nocowały ewakuowane konwoje. I wepchano tam nas chyba po to, aby stwierdzić, czy się zmieścimy w tym lochu w odpowiedniej chwili. Stłoczono nas w ciemnym wilgotnym lochu i zamk-

nięto żelazną bramą. Po kilkunastu minutach już brak było powietrza i ludzie zaczęli się dusić. Sądziliśmy, że nadszedł już koniec. Na szczęście była to chyba tylko "przymiarka". Wiedzieliśmy, że potworny system nie wypuści tak łatwo swych ofiar. Mimo tych niepokojących refleksji, słuchaliśmy z radością zbliżających się odgłosów frontu. Patrzyliśmy z radością na grupki majstrów omawiających żywo i ze strachem sytuację frontową.

Oczywiście ich niepokój odbijał się na naszej skórze, wyładowywali swą wściekłość na nas, jakbyśmy my byli głównymi sprawcami zbliżającego się nieodwołalnie ku nim sprawiedliwego losu.

Tak nadszedł dzień 14 lutego - środa. Pracowałem w grupie zmiany dziennej. W dniu tym niepokój i wściekłość majstrów i SS-manów doszła do zenitu. Niedaleko nas skopano butami na śmierć jednego starszego więźnia z Poznania i trupa umieszczono w kącie ustępu. Huki strzałów armatnich rozlegały się coraz wyraźniej. W przededniu rozeszła się pogłoska, iż czołgi radzieckie dotarły już na kilka kilometrów od Landeshut, tak, że lada chwila należy oczekiwać wolności. Nagle, pod wieczór około godz. 16-tej, tj. na dwie godziny przed zakończeniem zmiany dziennej, zarządzono przerwę w normalnej pracy, polecając nam szybko rozmontowywać aparaty kontrolne i precyzyjne urządzenia i ładować je do skrzyń. Wiedzieliśmy, że to już ewakuacja. Przed bramą fabryki nie zauważyliśmy zmiany nocnej.

W obozie oznajmiono nam, że należy się szybko przygotować do ewakuacji. Kto czuł się na siłach, miał sobie przygotować plecak z koców, spakować i tak znikome osobiste przedmioty i być gotowy do wymarszu. Kto czuł się niezdolny do marszu, słaby, miał zgłosić się do lekarza i mógł zostać. Chorzy na Revierze i maruderzy mieli pozostać.

Wieczorem rozdzielono podwójne porcje chleba i gorączkowo przygotowywano się do drogi. Większość szykuje się, przestrzegając, iż pozostali na pewno zostaną zlikwidowani. Biję się z myślami, co zrobić - iść, czy zostać. Do tułaczki brak sił, buty w strzępach, pozostać na likwidację się nie chce. W resztkach świadomości zatlił się słaby promyk nadziei na zaskoczenie obozu, czy wymknięcie się w czasie zamieszania.

Rankiem 15 lutego 1945 r. ustawiono kolumnę do wyjścia i segregowano kto ma pozostać. Byłem do marszu przygotowany i stałem w kolumnie.

Już przedtem rozmawiałem z kol. Brzostowskim z Białegostoku, co on postanawia. "Mają mnie po drodze gdzieś w rowie zastrzelić, jak psa - niech strzelają tu" - oświadczył. Waham się co zrobić - iść, czy zostać? Loteria o życie, o przypadek szczęśliwy, czy tragiczny. Tuż przed odmarszem, decyduję się na pozostanie.

Pozostało nas, "muzułmanów" różnej narodowości, stukilkudziesięciu oraz około 200 chorych na Revierze. Wśród pozostałych było dużo Polaków i dość spora grupa Rosjan. Pogoda tego dnia była wprost przedwiosenna. Blade promienie słoneczne ślizgały się po grząskim błocie opustoszałego placu apelowego. Za opuszczającą teren obozowy kolumną zamknęły się bramy obozu. Jak zwykle poza drutami czuwały nadal na "bocianach" strażę SS-manów.

Wśród więźniów pozostałych w obozie nie było dyscypliny obozowej. Niektórzy zaczęli plądrować po obozie w poszukiwaniu żywności.

Wobec wrastającego chaosu, więźniowie polscy zbierają wszystkich i podejmują próbę opanowania niesfornej gromady przez wybór samorządu obozowego i objęcia kontroli nad kuchnią i magazynem. Nie było to łatwe. Każda z grup narodowościowych chciała mieć

swoich, nie ufając innym. Polacy mieli przewagę ilościową. Kol. Brzostowski, jako jedyny pracujący poprzednio w kuchni, zorganizował grupę więźniów do objęcia magazynu i kuchni. Stwierdziliśmy, iż pozostawiono nam jedynie kupę wpełzgniętych ziemniaków oraz wory suchego zielska. Margaryny, czy powideł, ani śladu, wszystko to zabrała kolumna ewakuowana. Widzieliśmy jak przy ładowaniu kapowie i funkcyjni pakowali sobie paczki margaryny. Zbliżało się południe. Pod kierownictwem ko. Brzostowskiego przygotowano obiad.

SS-mani nie byli zainteresowani tym, co się działo w obozie, pilnowali tylko, aby nikt nie przedostał się poza druty. Zdołaliśmy jednak jakoś rozdzielić pożywienie wśród chorych i pozostałych w obozie.

Zbliżał się wieczór. W porozumieniu z nadzorem SS dostarczonej kuchni do podziału odpowiednią ilość chleba obozowego. Każdy chleb na 6 więźniów. Przy podziale wybuchały awantury. W czasie przygotowywania kolacji nagle dano znać, iż do obozu zbliża się kolumna ewakuowana, która wyruszyła rankiem. Widocznie drogi były już przecięte, skoro zarządzono powrót.

W obozie rozpoczął się popłoch. Lagrowy Peter, zastawszy swą sztubę w nieładzie, szalał z wściekłości.

Rozpuszczono pogłoski, jakoby tymczasowy samorząd obozu miał się obdzielić margaryną i innymi zasobami, które jakoby pozostały w magazynie. Oczywiście było to fałszem. W ten sposób kapowie i inni funkcyjni z kolumny ewakuowanej chcieli zamaskować przywaszczenie przez siebie w czasie ewakuacji żywności, przede wszystkim margaryny. Wiedzieliśmy, że pogłoski te stwarzały okazję do zniszczenia ludzi, którzy zdolni byli do opanowania nieładu w obozie. Było to przecież celem władz obozowych. Wiedzieliśmy, że donosiciele wskażą bardziej czynnych.

I tak rozpoczął się "taniec".

Następnego dnia zebrano całą gromadę pozostałych w obozie więźniów na placu apelowym. Kilkudziesięciu drabów pod przewodnictwem Kapów, uzbrojonych w trzonki od łopat otoczywszy całą gromadę rozpoczęło masakrę, bijąc gdzie popadło. Tak "walcowano" nas kilka godzin. Wprost cudem uniknąłem silniejszych uderzeń w ciżbie katorżanych i wyjących z bólu ludzi. Zdążyłem szybko zniszczyć spis kolegów, zatrudnionych w kuchni. Gdy już ta horda bijących zmęczyła się, ustawiono nas w szereg, a pozostałych na placu odwołano do opatrunku na Revier. Wśród nich znajdował się i kol Brzostowski. Przybył siny z gniewu Lagerältester w otoczeniu Kapów i zaczął krzyczeć:

"Wy czerwoni bandyci. Nie chciało wam się iść na ewakuację, bo chcieliście witać Czerwoną Armię. Należy was wszystkich wytluc, wystrzelać!" Oznajmił nam też, że spisano nazwiska wszystkich pozostałych w obozie i przesłano je Gestapo i że czekają nas wyroki śmierci. Zanim jednak to nastąpi, będziemy stanowić karną kompanię i poddani będziemy specjalnym karom.

Zostaliśmy oznaczeni czerwonymi kółkami na piersiach, plecach i nogawkach spodni. Oznajmiono nam, że będziemy pozbawieni jedzenia, zagrożono, że każdy, kto by nam podsunął jedzenie, zostanie surowo ukarany. Późnym wieczorem zapęczono nas do sztub.

Noc ta była najpotworniejszą w moim życiu, a dla wielu moich kolegów była ostatnią. Przeżyłem tę noc w podobnym napięciu, jak skazaniec oczekujący wykonania wyroku śmierci. Widziałem, co spotkało Brzostowskiego i innych, byłem pewny, że i mnie to nie minie. Byłem przecież jednym z tych, którzy starali się zaprowadzić w obozie porządek. Przeczucia o grożącym niebezpieczeństwie nie dały mi zasnąć.

W sobotę 17 lutego 1945 r. o godz. 4-tej rano wypędzono nas brutalniej niż zwykle na plac apelowy. Tych, którzy zaliczeni byli do karnej kompanii, ustawiono osobno. Obok nas stanęła grupka pobitych w wieczornej masakrze. Stali z głowami owiniętymi w zakrwawione szmaty, będąc przedmiotem drwin ze strony kapów i funkcyjnych.

Po apelu nastąpiła selekcja w naszej grupie. Mieliśmy być jako karne oddziały, skierowani do robót na III Werku. Teren ten, położony za miastem nadawał się do masakry.

Lagerältester Peter w towarzystwie lekarza obozowego i Oberkapo przeglądali nasze szeregi. Tu i ówdzie wydzielali słabszych z kolumny. Skurczyłem się jak najbardziej, aby tylko zostać wyłączonym. Udało mi się to dzięki wstawiennictwu felczera, mego przyjaciela, który stwierdził, że rzeczywiście z powodu choroby nie mogłem udać się na ewakuację.

Szczęście mi sprzyjało, kolumna odmaszerowała, ja pozostałem w obozie. Z grupy pobitych do karnej kompanii dołączono kol. Brzostowskiego, Richtera i kilku innych, widziałem, że idą oni na pewną śmierć.

Pozostałych w obozie zapędzono do prac porządkowych, potem do sztub, abyśmy nie widzieli platformy nadjeżdżającej z trupami zabitych. Dwa, czy trzy razy przyjeżdżał ten wóz z terenu III Werku z nowymi ofiarami. Nie wiedzieliśmy nawet dokładnie ilu zginęło. Wśród nich były ciała Brzostowskiego i Richtera. Zwłoki złożono na stos w jednej ze sztub naszego bloku II pod Reviérem, a później pochowano je w masowych grobach na żydowskim cmentarzu. Reszta dnia minęła na apelach karnych i na pracach na terenie obozu. Oczekiwaliśmy z niepokojem powrotu karnej kompanii. Wrócili przed zmierzchem. Wygląd ich był straszny. Zziębnięci, niektórzy boso, bo drewniaki zniszczyli w błocie i śniegu, pokrwawieni, nieludzko wyczerpani i głodni.

Nie jestem już w stanie dokładnie odtworzyć w pamięci całego przebiegu tego dnia i wieczoru. Był to bowiem dzień szczególnej grozy.

O przebiegu prac przy III Werku dowiedziałem się od kol. Wińskiego, który też ledwie wrócił z tej pracy. Opowiadał, że wśród bicia i kopania musieli w śniegu i grząskim błocie ładować żelazne wózki na platformy kolejowe i znowu z powrotem je wyładowywać, dźwigając na dość wysokie nasypy. Była to praca bezcelowa, była tylko narzędziem kary. Wózki, które z trudem mogło dźwignąć 8 osób, dźwigało po trzech, czterech więźniów. Kto się pod ciężarem ugiął, tego czekała śmierć.

Taki to przebieg miał "krwawy piątek" i sobota w obozie Landesgut. Trwoga, jaka zalegała obóz, oczekujący dalszych szykan, powoli mijała. Widocznie cała wściekłość SS-manów i Kapów, wywołana zapewne i strachem przed zbliżającym się frontem, wyładowała się w tych krwawych dniach. W tymże bowiem czasie front zatrzymał się na linii między Legnicą a Jaworem /Jauer/ w odległości około 30 km od Landesgut. Jauer było w rękach niemieckich, Legnica już w rękach radzieckich. Stan ten trwał do 8 maja. Wyzwolenia mieliśmy dopiero doczekać o świcie 9 maja.

Jeszcze dziś widzę w pamięci serdeczne powitanie żołnierzy radzieckich, wyzwalających nas i swoich rodaków uwięzionych w obozie.

Po wyzwoleniu dwukrotnie odwiedziłem b. Landesgut - dziś Kamienną Górę, w budynkach, w których pracowaliśmy i które pochłonęły tyle ofiar, pomieszczono znów tkalnie. Wre tam praca. Niedaleko fabryk i terenu obozowego znajduje się wąska uliczka "Koncentraków". Prowadzi ona pod górę na dawny żydowski cmentarz, gdzie

w szeregu, w masowych grobach chowane były ofiary obozu wtedy, gdy już nie można ich było wywieźć do Gross-Rosen, do krematorium.

Mogiły te przed kilku laty zostały odkopane, a okshumowane zwłoki złożono we wspólnym grobie na tymże cmentarzu. Z tego cmentarza rozpościera się piękny widok na Kamienną Górę będącą dziś pięknym polskim miastem.

O tragicznej przeszłości obozu w tym mieście mówią tylko te mogiły i skromne Muzeum Regionalne.

"Krwawy piątek" miał miejsce w dniu 16 lutego 1945 r. Tego dnia karna kompania doznała masakry na placu apelowym, gdzie bito bez litości, stała na deszczu i w błocie przez cały dzień. Dopiero wieczorem już po apelu wygnano do "sprzątanii" I Werku grupę "karniaków" pod wodzą Kapo Regla i Teodora Szulca. Z pracy tej wrócili rano zdziśiatkowani. Mordercza praca na III Werku miała miejsce w sobotę 17 lutego 1945 r.

Albin Brzostowski zginął na oczach piszącego te słowa, już w pierwszych minutach pobytu na III Werku, w jego szerokich wrotach. Zginął od kilkakrotnych kopnięć drewniakiem w czaszkę przez Kapo Zappka.

/Z. Rałł/

Nr archiwum Gross-Rosen 3.2.3.1